

# Recepta Letycji

HENRYKA WACH-MALICKA

214

**G**ościnnie spektakl Teatru Współczesnego z Warszawy przyjęła katowicka publiczność serdecznie i z prawdziwym uznaniem, choć można mu zarzucić kilka, wcale sporych, grzechów. Owację widowni można jednak prosto uzasadnić, niekoniernie zresztą jej ślepa wiara w to, że jeśli scena stołeczna, to z pewnością dobra.

Sztuka pt. „Letycja i lubczyk” Petera Shaffera to zabawna, błyskotliwie napisana, pełna zgoła nieoczekiwanych sądów o życiu, ludzkości i historii — komedia, a więc rzecz z gatunków tych, do których w równej mierze tęsknią widzowie, co i sam teatr. Po drugie warszawska realizacja opiera się niemal wyłącznie na silnych aktorskich osobowościach głównych wykonawczyń, które — prawdę mówiąc — i gorszy tekst są w stanie uatrakcyjnić. Te dwa plusy równoważą spektaklowe niedoskonałości, a nawet wręcz szalę przechylają.

Maciej Englert powierzając główne role aktorkom tej miary, co Maja Komorowska i Zofia Kucówna, mniej troszczy się jakby o całość przedstawienia, skutkiem czego jest ono zdecydowanie mało teatralne; statyczne (całe partie dialogowe, choćby w II akcie toczą te niezwykle kobiety nie zmieniając pozycji) i nieco za długie. Jeśli jednak publiczność nie czuje się tą, prawie trzygodzinną rozmową znudzoną, to jest to bezsprzecznie zasługą ogromnej kultury i bogatego warsztatu odtwórczyń, manipulujących (w najlepszym rozumieniu!) emocjami i uwagą widzów.

Zarówno autor jak i reżyser operują tę sceniczną opowieść na kontraście dwóch niebanalnych indywidualności. Maja Komorow-

ska jako Letycja, to brawurowy (i nie sądzę, że przerysowany, jak mówiono tu i ówdzie w kuluarach) portret kobiety, dobrej i wrażliwej, choć absolutnie nieprzystosowanej do rzeczywistości, która ją otacza. To duża umiejętność znaleźć komediowy ekwiwalent dla pokazania całkiem poważnej nerywicy. Letycja jest oczywiście „niepozbita” i gadatliwa, nadmiernie gestykułuje, mówi „całym ciałem” i zawsze na najwyższym tonie, śmieje się w najbardziej nieoczekiwanych momentach i na sto różnych sposobów.

Aktorka z urodzenia (po mamie!) wymyśliła sobie teatralizację życia jako lek na wszystko, co w tym życiu brudne, smutne, zmechanizowane i wciąga w ten proceder zimną urzędniczkę — Lotte. Letycję widzimy, „jaka jest”, od pierwszej sceny.

Z kolei Zofia Kucówna — owa Lotta właśnie — odkrywa nieszczęścia swojej duszy powolutku, ale konsekwentnie. Na oczach widowni opadają z niej kolejne warstwy oschłości i biurokratycznych przyzwyczajęń. Aktorka przyspiesza tempo swoich kwestii, rozluźnia gesty, swobodnieje z kwadrans na kwadrans, aż do nieoczekiwanego finału.

A obydwie te psychologiczne portrety, narysowane z precyzją i akcentem na najdrobniejsze niuanse, służą nie tylko aktorskiemu popisowi, lecz wydobywają z komediowych perypetii szalonych bohatererek kilka ważnych prawd. Te, że gdy dokucza nam szarość i apatia, to warto i trzeba się jej przeciwstawić na swój własny choćby i dziwaczny sposób. I, że historię, nawet najbardziej obiektywną, zawsze można interpretować na swój własny sposób...